



**HELENA
SEKUŁA**

**ŚLAD
REKAWICZKI**

Helena Sekuła

ŚLAD RĘKAWICZKI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-32-6

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Książka została wydana w 1972 roku przez Iskry w ramach serii „Ewa wzywa 07” (zeszyt nr 43). W 1985 roku zrealizowano na jej podstawie jeden z odcinków serialu „07 zgłoś się” ze słynnym porucznikiem Borewiczem – był to odcinek numer 16 noszący ten sam tytuł, co książka (reżyseria: Krzysztof Szmagier). Na okładce naszego e-booka widnieje fotos z jednego z odcinków tego serialu (a na nim Bronisław Cieślak – jako porucznik Sławomir Borewicz). Właściciel praw autorskich tego zdjęcia: FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny. Autor zdjęcia: Roman Sumik.

Kwietniowy wieczór jest chłodny; siąpi drobny, przenikliwie zimny deszcz. Samochód na szosie jedzie coraz wolniej, jego reflektory wymacują wreszcie jakąś drogę, wiodącą w zagajnik. Skręca. Wyboisty trakt prowadzi w głąb lasu, nawierzchnia jest tu gorsza, coraz więcej dziur wypełnionych błotnistą wodą, auto kołysze się gwałtownie, z jękiem resorów, spod kół tryskają fontanny mazi.

Stopniowo droga zwęża się w leśny dukt, położony wyżej, więc i suchszy, mniej wyboisty. Jeszcze kilkaset metrów i przecinka kończy się, światła wozu bezskutecznie usiłują przebić niemal litą ścianę starodrzewu i gęstego poszycia.

Gasną reflektory, z samochodu gramolą się dwie postacie. Przyświecają latarkami, ostrożnie omijają kałuże; nie są nawet nazbyt ubłoceni, gdy trafiają z powrotem na drogę, z której zjechali w bór. Szosa opada łagodnie wzdłuż lesistego wzgórza, w dole, przez drobny jak mgła deszcz, gdzieś w prawo majaczą rozmazane, szafranowe światła miasteczka.

Dwaj mężczyźni podnoszą kołnierze i szybkim krokiem ruszają wprost na te niewyraźne światła. Nie jest tak źle, miasteczko leży wprawdzie spory kawał od szosy, ale prowadzi doń droga brukowana polnym kamieniem. Mijają przystanek PKS-u i tablicę z napisem: KOSÓW 6 KM.

Zatrzymują się dopiero na stacji kolejowej w Kosowie. Podłużny barak z okratowanymi oknami, nad niedomykającymi się drzwiami ćmi się smętnie brudna żarówka w drucianej siatce. Przed dworcem zamknięty o tej porze kiosk Ruchu – wokół pusto.

– Poczekaj, Albinos – stoją prawie niewidoczni w cieniu starych topoli półkołem otaczających budynek. Jedyna latarnia znajduje się na peronie. Wyższy z mężczyzn oddaje towarzyszowi swój neseser, głębiej naciska kapelusz i wchodzi do poczekalni.

Zaśmiecona betonowa podłoga, brudne lamperie dawno nie malowanych ścian, na ławkach kilka osób śpi lub drzemie, przeczekując leniwie ciekący czas, dzielący ich od nadejścia pociągu.

– Dwa do Krakowa, pierwsza klasa – mężczyzna wsuwa banknot przez niewielkie okratowane okienko kasy. Jest tak małe, że wysoki towarzysz Albinosa musiałby się mocno pochylić, aby zobaczyć twarz kasjerki. Nie czyni tego.

– Osobowy o godzinie zero dwadzieścia – odpowiada na jego pytanie zaspana kasjerka, ziewa podając mu bilety; mimo niepozornego wyglądu dworca, stacja jest węzłowa, krzyżuje się tu kilka ważnych linii komunikacyjnych. Jest parowozownia i warsztaty naprawy taboru kolejowego, nowoczesne, zautomatyzowane. Jedynie nowy dworzec – beton i szkło, nie może doczekać się wykończenia, od lat trwa nędzna prowizorka, ów barak zbudowany jeszcze przed wojną.

– Teraz idziesz ty – towarzysz Albinosa powrócił pod topole i bierze bagaże od kamrata.

– Raf, czy to konieczne? – waha się Albinos; Raf nie odpowiada, tylko lekko popycha go w kierunku stacji. Albinos niechętnie opuszcza bezpieczny cień. Także niedługo bawi na dworcu. Stoją teraz obaj wsparci o pień drzewa, nie odzywają się do siebie. Drobna mżawka nabrzmiwa kroplami, zamienia się w ulewę, przez pewien czas deszcz smaga falami, po czym znowu siąpi anemicznie.

– Idziemy – otrząsa się Raf. – Nie można tu sterczeć, to jeszcze gorzej niż w tej zaplutej budzie.

– Dokąd chcesz iść?

– Chyba jest jakaś knajpa na tym przeklętym zadupiu – parska Raf. – Nie ma rady, trzeba wejść pod jakiś dach.

Kilkaset metrów dalej wpada im w uszy strzęp rytmicznej melodii. Idą w tym kierunku – muzyka brzmi już wyraźniej, zza firanek przysłaniających trzy okna sączy się przyćmiony blask, wabi obietnicą ciepła, odpoczynku.

KOSOWIANKA LOKAL KATEGORII DRUGIEJ – obaj mężczyźni wchodzą do środka.

Wnętrze jest zupełną niespodzianką; schludne, przytulne. Dyskretne boczne światła, w głębi lśniący niklami bar-lodówka pełen apetycznych, ładnie przybranych przekąsek. W drugiej salce na podium czteroosobowa orkiestra. Jest nawet wolny stolik w niszy w pobliżu przysłoniętego storą okna. Po wyglądzie dworca ten niemal wielkomiejski lokal zaskakuje przyjemną atmosferą.

Wprawdzie nie ma tu tłoku, ale ludzi jest pełno. Goście są już rozbawieni, gwar, na parkiecie ciasno. Nikt nie zwraca uwagi na dwóch mężczyzn, którzy zajmują miejsca w ciemnym kącie, lokując nesesery pod stolikiem.

Podchodzi kelnerka, ładna młoda dziewczyna w regionalnym stroju; po chwili podróżni otrzymują gorące dania i wódkę.

Dopiero widok dymiących talerzy budzi w nich głód. Jedzą łapczywie – alkohol przyjemnie rozgrzewa, taje zmęczenie, rozluźniają się nerwy, przycicha niepokój.

Dwa stoliki dalej zasiada wesołe towarzystwo; pięciu mężczyzn. Są podpici, podnieceni, toczą głośną rozmowę.

Czasami któryś rzuca dosadne słowo, ale zaraz pozostali strofują go:

– Ciii, pani Basia tego nie lubi... Koleś, musisz być kulturalny!

Więc zaraz konwersacja dzwiga się na właściwy poziom, a gdy rozmówca w ferworze nie znajdzie innego określenia, zniża głos do szeptu, żeby kolejnego nieprzystojnego słowa nie złożyło wyczułone, a subtelne ucho pani Basi. Widać, że jej imię budzi tu wielki respekt.

I nagle pryska sielanka. Jeden z młodych ludzi przy stoliku chwyta ciężki, szklany kufel i szerokim zamachem ciska go w okno.

W pierwszej chwili nikt nie rozumie, co się stało. Albinos i Raf wtulają głowy w ramiona, gdy sypie się na nich szkło z rozbitej witryny.

Orkiestra urywa w pół frazy i przez sekundę zapada na sali dzwoniąca w uszach cisza, by zaraz potem wybuchnąć gwarem oburzonych ludzi.

– Usunąć z lokalu... jak się nie umieją zachować, to...

Do stolika, zajętego przez pięciu mężczyzn, podbiega duża, postawna kobieta. Czterej biesiadnicy wskazują piątego, tłumaczą jej coś ze skruchą i żarliwą pokorą, natomiast sprawca zajścia? Nie do wiary! Zwisa z krzeselka w absolutnym bezwładzie, z odchyłoną do tyłu głową zasypia, jakby w tym gwałtownym zamachu skierowanym przeciwko wystawowej szybie wycisnął z siebie wszystko.

Raf rozgląda się za kelnerką, ale w tym zamieszaniu dziewczyna gdzieś się zawieruszyła, więc czekają, aby uregulować rachunek, nie biorą udziału w ogólnej dyskusji.

– Panowie, zabierajcie kolegę i już was nie widzę – rozkazuje postawna kobieta.

– Pani Basiu, kierowniczo kochana, my...

W drzwiach sali pojawia się milicjant. Fachowo ocenia sytuację, już jest przy stoliku, skąd rzucono kufel; przelotnie taksuje spojrzeniem Rafa i Albinosa.

Widać, że sierżant zna tu wszystkich i odruchowo zarejestrował w pamięci dwie nieznajome twarze.

– Robimy protokół – zwraca się do kierowniczk, sięgając do raportówki.

– Panie Kamiński... sierżancie... nie róbcie nam wstydu... – rozlegają się błagalne jęki od stolika, przy którym jak niewinne dziecię pochrapuje winowajca.

– Spokój! – ucina sierżant. – Pani Basiu, jak to było?

– Właściwie to samego zajścia nie widziałam... przybiegłam, gdy już było po wszystkim... – widać, że pani Basia nie lubi ingerencji władzy w sprawę swojego królestwa.

– Kto pana powiadomił, panie Kamiński?

– Właśnie przechodziłem, o mało ten kufel nie wylądował mi na głowie – krzywi się sierżant. – Tym razem nie daruję, będzie protokół – pochyla się nad kompanami.

– Zapłacimy za szkody, wprawimy szybę – unisono, prosząco dukają koledzy Wandala.
– To swoją drogą – stwierdza milicjant. – Panowie chwilę zostaną – to do Albinosa i Rafa, którzy rozliczyli się właśnie z kelnerką i chwytają swoje walizeczki.
– Panie sierżancie, śpieszymy się na pociąg – wyjaśnia Raf.
– Na który?
– Na... połączenie z Wrocławiem.
– Godzina do odjazdu, zdążycie panowie, złożycie tylko zeznanie. Myśmy nic nie widzieli – wyrywa się Albinos.
– Proszę nie utrudniać! – milicjant jest zniecierpliwiony i urażony wykrętami przejezdnych, tym bardziej że ta wymiana zdań zaczyna budzić zainteresowanie bliżej siedzących gości. – Proszę za mną! – szerokim gestem zagarnia winowajców i świadków.
Albinos posyła Rafowi rozpaczliwe spojrzenie, tamten czuje na sobie jego rozbiegane oczy, zaciska tylko szczęki i idzie za milicjantem. Sierżant również dostrzega wystraszoną twarz Albinosa.
– To może najpierw my? – pojednawczo wtrąca Raf. – Oni przecież panu nie uciekną.
Milicjant się zgadza, wskazuje im drogę, prowadzi do kantorka szefowej. Raf z dotkliwą jasnością widzi najdrobniejsze szczegóły mijanych przedmiotów; wzór chodnika, po którym stąpa, jakieś rysy na drewnianej boazerii ściany, nadpalony abażur kinkietu. Ale już się zdecydował, tylko żeby Albinos zrozumiał, więc ściska tamtego mocno za rękę... Chce tym gestem przekazać mu swoje opanowanie, podporządkować go swej woli.
Albinos nie jest w stanie nic zrozumieć; walczy z uczuciem, że jest nadziany galareta, przelewającą się obrzydliwą brylą, która zaraz z chlupotem wyleje mu się przez gardło. Znak Rafa pojmuje zupełnie opacznie.
Poprzez bełtający się w nim strach rejestruje, że kantor kierowniczkii leży tuż przy szatni, do drzwi wejściowych jest zaledwie kilka kroków.
Milicjant przepuszcza ich przed sobą, przymyka drzwi i siada za biurkiem, wyciąga z raportówki notes.
– A więc jak to by...
Nagle z łoskotem wali się na niego biurko, lecą liczydła, fruwią faktury; sierżant zbity z nóg pada, lecz zaraz podrywa się: – Stój! Zatrzymać się! – wybiega za uciekającymi mężczyznami.
Przed knajpą dogania Albinosa, gdy tamten potyka się o jakąś wyrwę w bruku. Mężczyzna bije go na odlew ciężkim neseserem. Milicjant robi jednak unik i szybkim, energicznym chwytem unieszkodliwia napastnika.
Szczęk kajdanków, sierżant trzyma go za kołnierz, prowadzi z powrotem do środka. Rozgląda się za drugim zbiegiem. Ani śladu...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI